

Piotr Bernardyn

SŁOŃCE

jeszcze nie wzeszło

Tsunami. Fukushima



Bezdroża

Autor: Piotr Bernardyn
Autor zdjęcia na okładce: Ko Sasaki

Redaktor prowadzący: Maciej Żemojtel
Redakcja i korekta: Gabriela Niemiec
Redakcja techniczna: Katarzyna Leja
Projekt okładki: Ewa Ślizak

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji. Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 2309863
e-mail: redakcja@bezdroza.pl
księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:
<http://bezdroza.pl/user/opinie/?beslon>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I
ISBN: 978-83-246-8512-7

Copyright © Piotr Bernardyn, 2014
Copyright © Helion, 2014

- | | |
|---|--|
| <ul style="list-style-type: none">•Kup książkę•Poleć książkę•Oceń książkę | <ul style="list-style-type: none">•Księgarnia internetowa•Lubię to!Nasza społeczność |
|---|--|



*Być Japończykiem to znaczy, w pewnym sensie,
spędzać życie wśród różnego rodzaju naturalnych katastrof.*

HARUKI MURAKAMI

Historia uczy, że z największych tragedii Japończycy potrafią się odbudować i wyjść wzmocnieni. Tak było po kolejnych katastrofach naturalnych, po klęsce wojennej zakończonej Hiroszimą i Nagasaki. Czasem mieli szczęście: wojna koreańska stworzyła taki popyt na japońskie towary, że zniszczona w 1945 roku gospodarka zaczęła szybko stawać na nogi. Los sprzyja jednak lepszym.

Jak będzie tym razem? Trzon gospodarki wydaje się nienaruszony – większość firm przemysłowych znajduje się na południe od zniszczonych obszarów. Wielkie banki i instytucje finansowe mają swe siedziby w Tokio, które co prawda kołysze się, ale wciąż stoi. Nigdzie na świecie nie ma takich antysejsmicznych zabezpieczeń jak tutaj. Nawet na północy kraju system ostrzegania przed tsunami uratował życie wielu ludziom, gdzie indziej ofiar byłoby pewnie więcej.

Obecna katastrofa przytrafia się jednak w wyjątkowo trudnym dla Japonii momencie. Kończy się druga już „stracona dekada”: gospodarka nie rośnie, społeczeństwo się starzeje, ludzie niepewnie spoglądają w przyszłość. Jeszcze niedawno w obliczu takiej tragedii rząd rozpocząłby szybko program robót publicznych, odbudowa ruszyłaby z miejsca z korzyścią dla całej gospodarki. Dzisiaj jednak dług publiczny sięga 200 procent, tnie się wydatki na infrastrukturę. Teraz – nie ma wyjścia – trzeba będzie zadłużyć się jeszcze bardziej.

Pomimo to osobom z zewnątrz trudno byłoby dostrzec te problemy: żadnych oznak rozprężenia, rytm życia ten sam co zwykle, wzajemna uprzejmość. Największym kapitałem Japonii są bowiem ludzie, i to oni będą musieli z tą tragedią jakoś się uporać. Jak zawsze dotąd.

Tokio, 14 marca 2011 r.



Rozdział I TSUNAMI

Kup książkę

Poleć książkę



*Ten kamień w pobliżu wsi Tokusa
jest dowodem na niszczącą falę morską.*
TŌHOKU, 1585

*Bądź zawsze przygotowany na niespodziewane tsunami.
Wybierz życie ponad swój majątek.*
KESENUMA, TŌHOKU, 1896

*Nieważne, ile lat minie, nie zapomnij tego ostrzeżenia.
Nigdy nie buduj domów poniżej tego znaku.*
ANEYOSHI, TŌHOKU, 1933

*Tutaj 11 marca 23 roku ery Heisei przyszło niewyobrażalnie wysokie tsunami.
Jeśli znów nadejdzie, nic ze sobą nie bierz, tylko uciekaj do góry.
Może ci się wydawać, że nie sięgnie twojego domu, ale i tak sięgnie.*
KAMAISHI, TŌHOKU, 2011

Gdy patrzę wstecz, widzę, że najbardziej bałem się 15 marca wieczorem. Przez cztery dni od ataku tsunami północ kraju była ciągle w chaosie: licznik ofiar na ekranie telewizora przesuwiał się niemal jak stoper, w Fukushima doszło już do eksplozji i trwała ewakuacja, a jednak wydawało się, że wstrząsy wtórne stają się łagodniejsze. I wtedy, we wtorek o 22.30, w czasie głównych wiadomości znowu bardzo mocno zatrzęsała się ziemia, chociaż inaczej niż w piątek. Wtedy drgania były poziome, teraz doszło do gwałtownego tąpnięcia, jakby ktoś wewnątrz ziemi bardzo mocno w nią uderzył. Meble w mieszkaniu zaczęły się trząść, na ekranie to samo działo się z dekoracjami w studiu telewizyjnym. Prowadzący wiadomości Ichiro Furutachi złapał się rękami za blat stołu, widać było, że się boi, ale zachował zimną krew: uspokajał widzów, był na posterunku. Inni prowadzący w podobnych okolicznościach tracili nieraz kontakt z widzem, czuło się, że najchętniej uciekliby w bezpieczne miejsce. Naturalna, zrozumiała reakcja, ale ja od tej pory inaczej już patrzyłem na Furutachiego.

Na ekranie pojawiła się zaraz mapka usiana punkcikami przedstawiająca siłę wstrząsu w różnych miejscach kraju. Okazało się, że tym razem epicentrum znajdowało się nie w Tōhoku, tylko po drugiej stronie Tokio, całkiem blisko, tuż obok góry Fuji. Sejsmolodzy w studiu mieli podzielone opinie: czy jest to kolejny wstrząs wtórny, czy osobne, samoistne trzęsienie. Teraz wydaje się to absurdalne, ale tego wieczoru, w napięciu, przemknęła mi przez głowę

myśl, że jesteśmy w Tokio osaczeni, że te wstrząsy nigdy się już nie skończą. Nie tylko ja się bałem, znajoma para Amerykanów z sąsiedniego budynku właśnie wtedy podjęła decyzję o wyjeździe z Japonii.

Już po północy, aby ochłoniąć, poszedłem do baru za rogiem. Wewnątrz wśród klientów było dwóch obcokrajowców: student z Korei Południowej, który na żądanie rodziców opuszczał Japonię następnego ranka, i jego kompan z RPA, zarzekający się, że wyjedzie dopiero z cesarzem, jako ostatni. Przy barze pijany Japończyk zaczął mnie atakować: „Już, won, wyjeżdżajcie wszyscy z Japonii, tchórze!”. Po kilku kolejnych drinkach ze łzami w oczach mówił, że sam by wyjechał, gdyby tylko mógł. Bardziej niż wstrząsów bał się promieniowania z Fukushima – od początku nie wierzył oficjalnym komunikatom.

Wtedy, 15 marca, nikt nie zginął. Kilkadziesiąt osób zostało rannych, ale nie odnotowano żadnego ciężkiego przypadku. W kolejnych dniach i tygodniach ziemia trzęsła się jeszcze wiele razy, stopniowo Fukushima zaczęła wypieierać inne wiadomości, pamięć o tamtym wtorku oddalała się. Dopiero wiele miesięcy później natrafiłem na artykuł poświęcony temu trzęsieniu. Okazuje się, że wywołało ono panikę wśród naukowców obserwujących aktywność wulkaniczną, bali się bowiem, że Fuji wybuchnie. Ostatnia eksplozja wulkanu miała miejsce w 1707 roku, zaraz po dużym trzęsieniu ziemi. Pył wulkaniczny zasypał wtedy obszar dzisiejszego Tokio. Przez 300 lat bardzo dużo się w Japonii zmieniło, w kalendarzu sejsmologa taki okres to jednak tylko chwila. Kolejny raz dotkliwie poczułem, w jakim miejscu na ziemi jestem, i zdałem sobie sprawę ze swojej nieistotności wobec procesów, które zachodzą dookoła.



POMNIKI ZBIOROWEJ AMNEZJI

Są ich setki, może tysiące, rozsiane wzdłuż wybrzeża Tōhoku. Najstarsze, porośnięte mchem, mają kilkaset lat, najnowsze – zaledwie parę dni: kamienne tablice, na których wyryto ostrzeżenie przed tsunami.

Od samego początku katastrofę z 11 marca określano w Japonii słowem *soteigai*, czyli „niemożliwa do przewidzenia”. Media lubią takie efektowne sformułowania, poza tym niektórzy mogą mieć w tym interes: do awarii w elektronice doszło, bo tsunami miało rekordową wysokość, a nie z powodu braku zabezpieczeń. Naukowcy będą klasyfikować siłę trzęsień do któregoś miejsca po przecinku, ale prostej prawdy i tak to nie zmieni: wybrzeże Tōhoku nosi, by tak rzec, tsunami w genach, a mimo to fala ciągle zaskakuje i wyrządza zniszczenia. Kamienne tablice, które ostrzegać miały następne pokolenia, nabrały więc przez lata dodatkowego sensu. Stały się pomnikiem pokory człowieka wobec sił natury, ale też poniekąd symbolem kondycji ludzkiej w ogóle. Są świadectwem tyleż zapobiegliwości, ile nonszalancji, tyleż pamięci, ile amnezji; są dowodem, że silne więzy i przywództwo ratują wspólnotę, ale też nadmierne przywiązanie do miejsca i przeszłości może mieć tragiczne konsekwencje.

Wybrzeże Tōhoku ujrzałem pierwszy raz dwa miesiące po tsunami. Nawet zniszczenia nie zdołały zatrzeć niezwykłej urody tego miejsca. Dziesiątki kilometrów porwanej linii brzegowej, zatoczki, w których leżą osady rybackie,

czasem małe miasta, ludzie od zawsze żyjący w swoim mikroświecie. Płaski jest na ogół jedynie skrawek ziemi u wybrzeża oceanu, zaraz potem niemal pionowo wyrasta skarpa albo zalesione zbocze góry. Widok jest porywający, tylko że takie ukształtowanie terenu wręcz kusi tsunami, by pokazało, na co je stać. Na równinie woda rozlałaby się w głąb lądu, tu spiętrza się gwałtownie nawet do 40 metrów i opadając, zgarnia ze sobą wszystko po drodze. Na koronach wysokich sosen wyraźnie odcisnięta jest linia, dokąd sięgała fala. Każda z osad ma swoją historię porachunków z tsunami, ale większość ludzi, zwłaszcza młodych, niewiele o tym wiedziała. Kamienne tablice stoją od zawsze, alarmy ostrzegające przed żywiołem zdarzały się, ale fala nigdy nie nadchodziła. Dopiero 11 marca zaczęły wracać z pamięci stare rodzinne opowieści o wylawianych z morza dziesiątkach ofiar; ostrzeżenia, które słyszało się od dziadka: „Gdy grozi tsunami, nie oglądaj się na nic, tylko uciekaj do góry!”, nagle stawały się bardzo realne.

W najnowszej historii wielka fala dwukrotnie nawiedzała ten region Japonii: w 1896 i 1933 roku. Zginęło wtedy odpowiednio 21 tysięcy i 3 tysiące ludzi, woda za każdym razem sięgała 30 metrów. Mniejsze tsunami w 1960 roku pochłonęło 142 osoby, ale epicentrum trzęsienia ziemi znajdowało się wówczas w Chile, po drugiej stronie Pacyfiku. Z każdej z tych katastrof nawet sąsiadujące z sobą miejscowości potrafiły wyciągnąć całkiem różne wnioski, dlatego 11 marca 2011 roku spotkał je odmienny los.

Taro jest osadą rybacką, której mieszkańcy byli przekonani, że tsunami ich już więcej nie skrzywdzi. Poprzednie dwie wielkie fale zniszczyły to miejsce niemal doszczętnie. Za każdym razem pojawiał się pomysł przeniesienia osady na wzgórze, ale brakowało pieniędzy, ludzi do pracy i pewnie determinacji. Taka decyzja musi zapaść natychmiast, później przenieść się jest coraz trudniej. Po drugim tsunami w 1933 roku wiadomo było jednak, że coś trzeba zrobić. Zbudowano betonowy mur, wysoki na 10 metrów – tyle miało ostatnie tsunami, choć to poprzednie z 1896 roku było o 5 metrów wyższe. Ściana miała najpierw 1600 metrów długości, później dobudowano drugą część, dodatkowe 2 kilometry. Z tsunami w 1960 roku Taro wyszło nietknięte, choć w pobliskich

miejscowościach zginęli ludzie. Po kraju rozeszła się wieść, że osadę ocaliła nowa konstrukcja. Był to czas boomu gospodarczego, wiary w technikę, wydawało się, że człowiek wreszcie jest w stanie poskromić żywioł. Nie podkreślano, że fala miała tylko 5 metrów i sięgnęła jedynie do połowy muru. To jednak wystarczyło, by ludzie zaczęli osiedlać się w jego pobliżu, pojawiły się tam restauracje, funkcjonował port. Gdy 11 marca 2011 roku rozległ się alarm, niektórzy, zamiast na zbocza, pobiegli na mur, by fotografować tsunami. Woda sięgnęła 14 metrów, nie tylko wdarła się do osady, ale i przerwała betonową konstrukcję. Zginęło ponad 200 osób, Taro znów było na kolanach. To tutaj wspomniana przeze mnie starsza kobieta pokazywała do kamery wywrócony mur, który miał być „najlepszy w Japonii”.

W dwóch innych miejscowościach, Toni i Hongo, już w 1896 roku podjęto decyzję, żeby przenieść się wyżej, dlatego też za drugim razem większość mieszkańców ocalała. Zginęli ci, którzy w międzyczasie zdecydowali się wrócić na wybrzeże. Dziesięć lat stanowić ma granicę, za którą pamięć o tsunami słabnie na tyle, że górę bierze wygoda życia na płaskim, blisko morza. Wystarczy, że wróci jedna osoba, nawet tymczasowo, a wkrótce po niej nadciągają inni. Dzieje się to jeszcze szybciej, gdy zjawi się ktoś z zewnątrz, kto nie pamięta tragedii. Ci, którzy wracają, mówią sobie, że tsunami już nie nadejdzie, przynajmniej za ich życia. I mogą mieć rację, kłopot mają jednak następne pokolenia.

Minamisanriku jest jednym z tych miejsc, które 11 marca ucierpiały najbardziej. Tu znajduje się szpital, z którego uratowało się tylko 35 ze 107 pacjentów – tylu zdołano wynieść na dach budynku. W maju 2012 roku po okolicy oprowadzał mnie rybak, który, jak wielu innych, mieszka teraz w tymczasowym lokum zapewnionym przez państwo. Pojechaliśmy samochodem w miejsce, gdzie stał jego dom, jakieś 200 metrów od oceanu. Gruzy już uprzątnięto, pozostał jedynie pusty plac. Na ścieżkach asfaltowych między parcelami od razu rzucały się w oczy zielone znaki wskazujące drogę ewakuacji w czasie tsunami. Dwa dni przed katastrofą w tym miejscu również rozległ się alarm, ale fala nie nadeszła, dlatego później wiele osób zlekceważyło zagrożenie, mimo że wstrząs był znacznie silniejszy. Trudno było nawet ustać na nogach, mój znajomy zdążył tylko wybiec przed dom i resztę trzęsienia spędził na czworakach, przytknięty

do asfaltu. I tak miał szczęście – stracił dobytek, ale z całą rodziną udało mu się ewakuować samochodem, zanim nadeszła fala.

Chciałem go jednak zapytać o coś innego. Dokładnie w dniu, kiedy tam byłem, mijała kolejna rocznica tsunami z 1960 roku, które w Minamisanriku wyrządziło duże szkody. Wieczorem miała się odbyć uroczystość ku czci ofiar. Dlaczego, mimo świeżej pamięci o tym wydarzeniu, nie było prawie żadnych zabezpieczeń? Rybak nie potrafił odpowiedzieć.

– Soudesune...

– Ale teraz to już na pewno tu nie wrócicie, prawda?

– Soudesune... teraz to już...

Nie dokończył zdania. Mijał 15. miesiąc od tsunami, ale decyzje o przyszłej zabudowie jeszcze nie zapadły. Nietrudno zrozumieć, dlaczego rybacy gnieździ się tak blisko wybrzeża. W najbliższej okolicy zbiega się zbyt strome do zamieszkania, trzeba by równać teren, a to kosztuje. Za 10 lat losy tego miejsca zapewne będą już przesądzone.

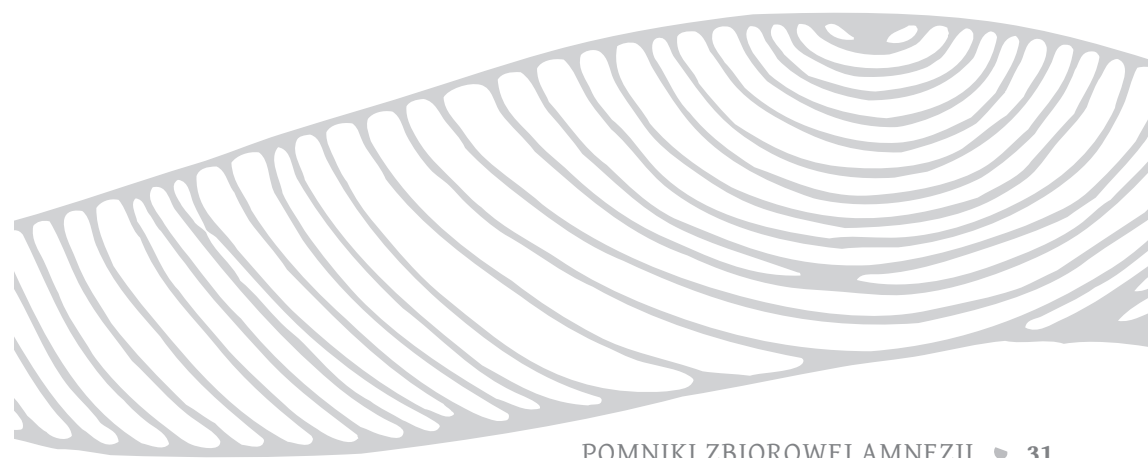
Czasem cała osada zawdzięcza życie decyzji jednego człowieka. Wieczorem 15 czerwca 1896 roku w niewielkiej wiosce o nazwie Yoshihama ludzie bawili się na weselu, tuż przy wybrzeżu. Najpierw był wstrząs, potem nadeszła 24-metrowa fala, zginęły 204 osoby, w tym większość weselnych gości. Szef wioski, Buemon Niinuma, zarządził przeniesienie osady wyżej. Ziemia na zboczach należała do niego, rozdzielił ją między wszystkich, wytyczono drogę, powstała szkoła, sklepy. Fala w 1933 roku miała 14 metrów, ze starych mieszkańców nie zginął nikt, było jednak kilkadziesiąt ofiar przy nabrzeżu, gdzie zdążyli się już osiedlić przybysze z zewnątrz. Tym razem kierujący wioską Ushitaro Kashiwazaki, którego krewni kilkadziesiąt lat wcześniej bawili się na weselu, podjął decyzję o przeniesieniu reszty mieszkańców do góry. Kiedy więc 11 marca 2011 roku woda, podobnie jak w Taro, przedarła się przez betonowy mur, rozlała się jedynie na puste pola ryżowe. Yoshihama ocalała. W sąsiednim Ofunato, gdzie kiedyś też ludzie przenieśli się na zbocza, ale po pewnym czasie zaczęli wracać, większość zginęła.

Kotaku Wamura, burmistrz innej miejscowości o nazwie Fudai, do swojej śmierci w 1997 roku budził kontrowersje wśród mieszkańców. *Idee fixe* jego

życia było zbudowanie wielkiego muru, długiego na 200 i wysokiego na 15 metrów, który ochroniłby Fudai przed tsunami. Pamiętał katastrofę z 1933 roku, o poprzedniej słyszał od rodziców. Był postacią charyzmatyczną, wybierano go na 10 kolejnych kadencji. Budowa muru trwała kilka dekad, ukończono go w 1996 roku, koszt sięgnął 30 milionów dolarów – sporo jak na budżet niewielkiej miejscowości. Ale 11 marca ściana uratowała ludziom życie. Kiedy Wamura w wieku 85 lat mógł wreszcie odejść na emeryturę, mówił na pożegnalnym przyjęciu: „Nawet jeśli napotkasz sprzeciw, ale jesteś przekonany o słuszności tego, co robisz, ukończ to. Kiedyś ludzie i tak zrozumieją”. Jego grób w Fudai pokrywają codziennie świeże kwiaty.

Idąc w dół wybrzeża Tōhoku, napotkać można jeszcze miasteczko Aneyoshi. Jego mieszkańcy byli z kolei tak przywiązani do miejsca i swych przodków, że po każdym tsunami wracali, by opiekować się grobami. Dziesiątkowana ludność ściągająca krewnych z daleka, byle tylko dalej tu mieszkać. Ich miejsce na ziemi czasem pochłaniała woda. Natura zwyciężała. A może jednak górą był człowiek, który po raz kolejny stawiał na swoim?

Nie wiem, co łączy te wszystkie historie poza tym, że wydarzyły się blisko siebie. Zmagania Tōhoku z tsunami na pewno nie są świadectwem jednej, wyłącznie japońskiej odpowiedzi na żywioł. Niektórzy mogą poczuć się zawiedzeni, inni – wręcz przeciwnie.





Rozdział II
FUKUSHIMA

Kup książkę

Poleć książkę



NUKLEARNA WIOSKA

IMPERIUM

Nie był to z pewnością najprzyjemniejszy dzień w życiu Masataki Shimizu, szefa firmy Tokyo Electric Power Company (TEPCO), która jest operatorem elektrowni w Fukushima. Kilka tygodni po katastrofie Shimizu odwiedzał miejsca, gdzie ewakuowano ludzi ze skażonych terenów wokół elektrowni. Rytuał się powtarzał: orszak dyrektorów – wszyscy w odprasowanych uniformach, które nosili od dnia katastrofy – wkraczał do kolejnej sali gimnastycznej albo klasy szkolnej; jeśli podłoga była wyłożona matą, obowiązkowo ściągano buty, potem głęboki ukłon, słowa przeprosin, uprzejme, ale bez żadnych emocji. Wśród ewakuowanych wiele było osób starszych, przykutych do posłań, wtedy Shimizu po prostu klękał i w tej pozycji wyrażał ubolewanie.

Gesty te jednak nie zjednywały mu sympatii, co chwilę ktoś podbiegał, podtykał papier: „Tutaj, tu niech pan podpisze, że pokryjecie wszystkie straty!”, „Kiedy będę mógł wrócić do domu?!”, „Kiedy wypłacicie odszkodowania?!” – na cały głos, w obecności mediów. Nie było to na pewno „stoickie” zachowanie, z którego słyną ludzie Tōhoku. Tak jakby tłumione od tygodni złe emocje zerwały się z łańcucha.

Upokarzające. To nie było towarzystwo i sposób komunikacji, do jakiego przyzwyczajony był Shimizu. Do marca 2011 roku firma TEPCO to był olimp japońskiego biznesu – formalnie jeden z dziesięciu producentów energii, w rzeczywistości instytucja z samego miąższu japońskiego establishmentu, o wpływach sięgających głęboko w świat polityki, biurokracji i mediów. Jeśli już, to przychodzono ukorzyć się przed Shimizu, a nie na odwrót.

TEPCO, zwane czasem imperium, jest prywatną firmą, największym w Japonii i czwartym na świecie operatorem energii. Dostarcza prąd dla tokijskiej metropolii i siedmiu innych prefektur, w sumie obsługuje 27 milionów ludzi. Roczna wartość produkcji firmy wystarczyłaby na pokrycie potrzeb energetycznych całych Włoch w tym samym okresie. TEPCO jest właścicielem 17 reaktorów jądrowych w trzech elektrowniach: dwie znajdują się w Fukushima, jedna w Niigacie. Praca w nich, oprócz prestiżu i stałego zatrudnienia, dawała wymierne korzyści. Średni roczny dochód każdego z blisko 40 tysięcy zatrudnionych – nie wliczając zarządu – wynosił 80 tysięcy dolarów, czyli mniej więcej dwukrotność japońskiej średniej.

Siła TEPCO brała się z monopolu nie tyle na produkcję, ile na przesył i dystrybucję energii. Firma jest bowiem właścicielem linii energetycznych na swoim terytorium i choć formalnie od kilku lat istnieje możliwość indywidualnej produkcji prądu na sprzedaż, w praktyce jest to trudne, gdyż trzeba korzystać z linii przesyłowych TEPCO, które winduje ceny. To dlatego, mimo sprzyjających warunków, Japonia słabo wykorzystuje energię z zasobów odnawialnych. Drobną produkcję byli blokowani przez monopolistów promujących własne elektrownie. Reforma musiałaby więc polegać na rozdzieleniu produkcji i przesyłu prądu, tak by każdy miał sprawiedliwy dostęp do sieci.

Obok TEPCO w Japonii działa dziewięciu wielkich producentów energii, wszyscy są monopolistami na swoim obszarze. Pozycja TEPCO, ze względu na centralne położenie, jest wyjątkowa, ale metody działania w całym kraju są podobne. Szefowie firm energetycznych przypominają feudałów na włościach, wszyscy zrzeszeni są w Federacji Firm Energetycznych, której interesów w Japonii nikt nie ma odwagi lekceważyć. Tym bardziej że nie chodzi tylko o prąd. Majątek TEPCO jest dziś w pośpiechu wyprzedawany, by pokryć straty

oraz koszty odszkodowań po Fukushima, ale do niedawna cały holding TEPCO zatrudniał 70 tysięcy ludzi pracujących w dziedzinach tak różnych, jak hotelarstwo, służba zdrowia i turystyka; firma miała nawet swój zakład pogrzebowy. Jest to więc pokaźny elektorat, zwłaszcza gdy doliczyć rodziny pracowników oraz innych operatorów w całym kraju.

Od dawna w Japonii mówiło się, że kariera polityka, który narazi się lobby energetycznemu, jest skończona. Znane są losy byłego ministra gospodarki, Shinji Sato, który w 1997 roku tylko zasugerował dyskusję o uwolnieniu rynku energii. W kolejnych wyborach przegrał z kandydatami wspieranymi przez Federację. Przypadek tym bardziej wymowny, że Sato jest synem byłego premiera, a takie afiliacje w Japonii z reguły gwarantują miejsce w parlamencie. No chyba że świat energetyki sądzi inaczej.

Pozycja monopolisty nie jest oczywiście dana raz na zawsze. Trzeba ją pielęgnować, najlepiej u źródła, czyli poprzez angażowanie się w politykę. Ludzie związani z energetyką startują w wyborach na wszystkich szczeblach. Rok po Fukushima magazyn „Sentaku” odnalazł co najmniej 19 polityków związanych z TEPCO, niektórzy wciąż mieli w firmie etat. Wpływy na poziomie prefektur i gmin są równie ważne jak w Tokio. Elektrownie stawia się przecież na prowincji, trzeba więc zabiegać o przychylność ludności.

Ludzie to jednak nie wszystko. By mieć wpływy – trzeba płacić. Przez pół wieku sytuacja była jasna: rządziła jedna partia, LDP, i zawsze mogła liczyć na wsparcie świata energetyki. Zmiana nastąpiła w 2009 roku, kiedy władzę przejęła opozycja – zwycięska DPJ zapowiadała ukrócenie korupcji. Okazało się jednak, że TEPCO bardzo dobrze odnalazło się w nowej sytuacji. DPJ zawdzięczała swój sukces między innymi wsparciu związków zawodowych, w nich zaś dominują pracownicy firm energetycznych – liczni i posiadający fundusze. Coś za coś – już wkrótce ludzie związani z energetyką i popierani przez związki zawodowe będą zasiadać w parlamencie. Ciekawie wygląda zestawienie wpłat na partie polityczne za 2010 rok: związki zawodowe przekazały partii rządzącej 33,49 miliona jenów (około 1,2 miliona złotych), natomiast wśród prywatnych sponsorów na rzecz opozycyjnej LDP największe kwoty wpłacili szefowie firm energetycznych – w sumie 33,24 miliona jenów (około 1,19 miliona złotych),

czyli mniej więcej tyle samo. LDP uchodzi za partię wielkiego biznesu, DPJ – za bardziej socjalną, skutek działalności może być jednak podobny.

Trudno o lepszą pozycję na rynku niż status prywatnego monopolisty energii. Można dyktować ceny i być niezależnym od państwa. Oczywiście windowanie w nieskończoność opłat za prąd jest nierealne. Ceny sugerowane przez TEPCO musiały mieć stempel Ministerstwa Gospodarki, Handlu i Przemysłu (METI), choć w istocie polegało to raczej na samoograniczeniu się. Szacunkowy kosztorys, prezentowany raz na 10 lat, niewiele miał wspólnego z wolną grą rynkową, w której cena wynika z przecięcia się linii popytu i podaży. Tutaj zysk naliczano procentowo – jako stałą wielkość wobec szacowanych kosztów. Ostatecznie i tak za wszystko płacił konsument. Cena energii w Japonii jest jedną z wyższych na świecie, producent zawsze jednak wyjdzie na swoje, w ostateczności z pomocą państwa.

Takie warunki prowadzenia biznesu wręcz kuszą do niegospodarności i nadużyć. Wiele firm skupionych wokół TEPCO przynosiło straty poza holdingiem, ale ratowały je kontrakty z firmą matką. Japoński konsument musiał też płacić za rozdęty budżet reklamowy TEPCO, wynoszący około 300 milionów dolarów rocznie*, mimo że firma nie miała przecież konkurentów na rynku. By przekonać się, że TEPCO jest wszędzie, wystarczy rzucić okiem na starą prasę: może to być wielki liberalny dziennik „Asahi” (26 milionów dolarów na reklamę), lokalne pisemko czy poważny konserwatywny miesięcznik „Bungei Shunju”, gdzie na błyszczącej rozkładówce pisze się o ekologicznych zaletach energii jądrowej. To był szeroki, stabilny strumień gotówki, a zatem niejedynym wydawcą czy redaktorem głęboko się zastanowił, zanim podjął na łamach temat monopolu w energetyce bądź minusów energii jądrowej.

Problem sięga dalej. Oficjalnie informacji o energetyce udziela tak zwany Klub Prasowy Energii, finansowany i luksusowo wyposażony przez TEPCO i inne wielkie firmy. Jak twierdzi magazyn „Sentaku”: „Reporterzy są zabawiani w ekstrawagancki sposób, w ekskluzywnych klubach nocnych i restauracjach.

* Federacja Producentów Energii jest największym reklamodawcą w kraju, jej budżet wynosi około miliarda dolarów.

Wpływowi dziennikarze po przejściu na emeryturę znajdują zatrudnienie w różnych instytucjach związanych z Federacją Firm Energetycznych”*. Niektórzy zostają w zawodzie i redagują teraz pisma branżowe.

Zdarza się też, że firmy energetyczne inwestują w media, uzyskując bezpośrednio kontrolę nad informacją. Przekonał się o tym pisarz Yu Tanaka, u którego wydawnictwo Nishi Nihon Shimbun zamówiło książkę krajoznawczą o wyspie Kyushu. Już po złożeniu całości do druku wydawnictwo zażądało usunięcia fragmentu o pozyskiwaniu plutonu w miejscowej elektrowni jądrowej. Tanaka zgodził się, ale książka i tak nie wyszła. Potem okazało się, że największym udziałowcem wydawnictwa jest firma Kyuden, lokalny monopolista na rynku energii.

To przykład z prowincji. Jak wyglądają związki energetyki i mediów na samym szczycie, wyszło na jaw przypadkowo w dniu awarii elektrowni. Przewodniczącego rady nadzorczej TEPCO, Katsumaty, nie było wtedy w Japonii. Wyjechał na wycieczkę do Pekinu w towarzystwie emerytowanych dziennikarzy wiodących mediów. Na początku tylko jeden tabloid odważył się o tym napisać, podając listę uczestników. Cena wyjazdu wynosiła 50 tysięcy jenów od osoby – to za mało na przelot w klasie biznes i nocleg w dobrym hotelu. Wiadomo, kto dorzucił resztę.

Choć formalnie za sterami TEPCO stał Shimizu, faktycznym władcą imperium był właśnie Katsumata – lat 72, pseudonim „Brzytwa”. To on uczynił Shimizu prezesem, mimo że ten nie był nawet absolwentem Uniwersytetu Tokijskiego. Miał za to odpowiednią osobowość, uchodził bowiem za człowieka miękkiego, Katsumata mógł więc liczyć na jego posłuszeństwo. I tak było, tyle że w decydującym momencie Shimizu zawiódł. Gdy 15 marca sytuacja w Fukushima zaczęła wymykać się spod kontroli, po kolejnej reprimendzie od premiera Shimizu po prostu się załamał i na wiele dni wylądował w szpitalu. Media doniosły potem, że już z łóżka szpitalnego spłacał w pośpiechu kredyt za luksusowy apartament – niby nic wielkiego, ale, jak twierdzono, nie jest to zajęcie dla rzekomo chorego człowieka, zwłaszcza w momencie, gdy kraj spotyka tragedia.

* *Power industry's chokehold*, „The Japan Times”, 27 czerwca 2011.

Katsumata, choć sporo starszy, do czasu dymisji w połowie 2012 roku nie okazywał słabości. Wprawdzie po 11 marca znikł na pewien czas – nie chciał, by kojarzono go z tragedią – ale później, gdy zaczął występować publicznie, nie było wątpliwości, że przemawia imperator energetyki: żadnej skruchy, ledwie formalne słowa ubolewania, powtarzanie, że awarii winne są tsunami i urzędy państwowe, a nie jego firma. Oto przykład stylu, w jakim głowa TEPCO komunikuje się ze światem zewnętrznym. Pytanie dziennikarza na konferencji prasowej: „Panie przewodniczący, czy obawia się pan teraz, że monopol na rynku energii zostanie rozbity?”. Katsumata: „Nie, nie, pan przychodzi za rzadko na konferencje, żeby zadawać tak poważne pytania! Proszę, teraz pani”. Dziennikarka: „Panie przewodniczący, jak się pan czuje?”. Katsumata: „No, jakoś się jeszcze trzymam”.

Katsumata jest człowiekiem generacji, którą Japończycy nazywają z angielska *the best and the brightest* (najlepsi i najzdolniejsi). To ludzie, którzy po wojnie dostali swoją szansę i potrafili ją wykorzystać. Niekoniecznie z zamożnych rodzin (ojciec Katsumaty był prowincjonalnym nauczycielem), dzięki zdolnościom i pracowitości ukończyli najlepsze uczelnie, a potem przebili się do ścisłej elity. Katsumata ma czterech braci, każdy z nich został albo szefem wielkiej korporacji, albo sławnym naukowcem. Stali się liderami powojennego systemu, z wszystkimi jego wadami i zaletami. Aroganckie wypowiedzi Katsumaty można traktować jako element lokalnego folkloru – takich imperatorów jest w Japonii więcej. Podobnie korupcja na styku biznesu i polityki nie ogranicza się tylko do sektora energii. Tę gałąź gospodarki wyróżnia jednak to, że jej częścią jest energetyka jądrowa. Po Fukushima opinia publiczna pierwszy raz tak dokładnie uzyskała wgląd za kulisy tego hermetycznego, nieco tajemniczego świata.

INCEPCJA

Po awarii w elektrowni ludzie za granicą, ale i w Japonii, pytali często, jak to możliwe, że kraj z traumą po Hiroszimie, w którym ziemia drży niemal bez przerwy, tak szybko postawił ponad 50 reaktorów. Więcej mają tylko USA i Francja.

Wbrew pozorom nie było to z początku łatwe. Po wojnie Japonia żyła w cieniu atomowych eksplozji. W 1954 roku miał jeszcze miejsce wypadek nuklearny na wyspach Bikini – japoński kuter, po teście amerykańskiej bomby wodorowej, został mocno napromieniowany, jeden członek załogi zmarł, wielu odniosło rany. W Japonii odżyła trauma, ludzie mieli dość nie tylko atomu, ale i USA. „Japończycy są patologicznie wyczuleni na broń nuklearną. Czują się jak jej męczennicy. (...) Prezydent Eisenhower jest zaniepokojony sytuacją w Japonii i prosi Dulles [sekretarza stanu] o pomoc, jak zwiększyć zaangażowanie USA w tym kraju”^{*} – pisał Departament Stanu.

Postawiono na pokojową promocję atomu w Japonii. Była to część pakietu, który miał wesprzeć japońską gospodarkę. Zaczynała się zimna wojna, Waszyngton chciał na trwałe zakotwiczyć Japonię po swojej stronie. Dla kraju pozbawionego surowców elektrownie jądrowe wydawały się strzałem w dziesiątkę. Oczywiście możliwość sprzedaży Japończykom amerykańskiej technologii również odgrywała swoją rolę. Teraz trzeba było tylko Japonię do tego pomysłu przekonać.

W 1956 roku miasto Hiroszima we współpracy z USA zorganizowało wystawę poświęconą energii jądrowej. Pokazano jej zastosowania w energetyce, leczeniu raka, był też model okrętu o napędzie atomowym. Wystawę odwiedziło 100 tysięcy osób – sukces. Poparcia udzieliły nawet organizacje ofiar z Hiroszimy i Nagasaki. „Naszą jedyną nadzieją jest to, że energia, która może doprowadzić ludzkość do zniszczenia i anihilacji, będzie użyta dla szczęścia i dobrobytu ludzi” – pisano z Nagasaki. Już po Fukushima uwagę zwracały powściągliwe komentarze dwóch największych organizacji działających przeciwko rozprzestrzenianiu broni jądrowej. Przez pół wieku godziły one fanatyczny sprzeciw wobec zbrojeń nuklearnych z akceptacją budowy kolejnych elektrowni. Dopiero kilka miesięcy po awarii jedna z nich – Japoński Kongres przeciw Bombie Atomowej i Wodorowej – zrobiła zwrot, przenosząc nawet coroczną konwencję do Fukushimy. Obradowano pod nowym hasłem: „Energia ludzka i atomowa nie mogą współegzystować”, członkowie kongresu jednak się podzielili. Wielu,

^{*} Cyt. za: *US used atomic power cooperation to remedy Japan's 'ignorance'*, „Mainichi Shinbun”, 24 lipca 2011.

zapewne szczerze, wspierało dotąd elektrownie, ale inni mieli w tym interes. Okazało się, że nawet tutaj sięgają macki związków zawodowych firm energetycznych. To one pilnowały, by na corocznych spotkaniach w Hiroszynie lub Nagasaki tematów elektrowni jądrowych nie poruszano.

Paradoksalnie Hiroszima mogła pomóc w rozwoju japońskiej energetyki jądrowej. Niektórzy Japończycy nigdy nie wyzbyli się atomowej alergii, z wielu powojennych wspomnień przebija jednak świadomość, że klęskę zadał przeciwnik, który posiadał potężną, dla Japonii niedostępną technologię. Nawet siła japońskiego ducha była wobec niej bezradna. Nie znaczy to, że impulsem do powojennego rozwoju była chęć militarnego odwetu, chodziło raczej o wskazanie drogi, że realna moc państwa wynika z nauki i postępu technicznego.

Amerykanie nie kłamali, zachwalając Japończykom energię jądrową. To był jej złoty okres, zastosowanie atomu, choćby w medycynie, wydawało się ewidentne. „Dziś trudno w to uwierzyć, ale energia nuklearna niosła z sobą nadzieje i marzenia”^{*} – mówi Kota Kiyu z organizacji ofiar Hiroszimy. Istota atomu: mikrocząstki generujące wielką energię, nadawała mu tajemniczy, mistyczny wręcz charakter, mówiło się o „wynalezieniu drugiego ognia”, o „nowym mesjaszu”.

W japońskim społeczeństwie zawsze był obecny nurt, który chciałby zerwać z pacyfizmem i uczynić z kraju nuklearne mocarstwo. Większość ludzi jednak musiała najpierw postawić w świadomości mur między wojskowym a pokojowym zastosowaniem atomu. Gdy to się udało, droga do budowy reaktorów stanęła otworem.

Japoński atom ma dwóch ojców. Jednym z nich był młody, ambitny polityk, Yasuhiro Nakasone, który 30 lat później został premierem. To on forsował w parlamencie ustawę atomową, tak zwany Atomic Energy Basic Act, w której znajduje się zapis, że energia jądrowa ma być używana bezpiecznie, niezależnie i pod demokratyczną kontrolą. Już po Fukushima nie brakowało sarkastycznych komentarzy, że żaden z tych warunków nie został dotrzymany.

^{*} Cyt. za: Nobuko Nishigori, Kanami Otomitsu, *Two antinuclear arms groups divided on nuclear power*, „The Japan Times”, 15 lipca 2011.

Drugim, znacznie starszym, był Matsutaro Shoriki, szef imperium medialnego, które jest wydawcą największego dziennika na świecie „Yomiuri” – idealnego instrumentu do promocji nowej technologii. Shoriki, zwany czasem japońskim Goebbelsem, był po wojnie na liście podejrzanych o zbrodnie wojenne. Trzy lata spędził w więzieniu, potem zaczął współpracę z wywiadem USA, który cenił jego kontakty w establishmencie. Shoriki został pierwszym szefem Japońskiej Agencji Atomowej. Liczył na fotel premiera w przyszłości oraz konstrukcję japońskiej bomby atomowej, ale przeszkodził mu chyba nadmiar ambicji, czym naraził się Amerykanom. Później nie odegrał już większej roli w polityce ani gospodarce.

Pierwszy japoński reaktor zakupiono w latach 60. w Wielkiej Brytanii. W 1970 roku uruchomiona została elektrownia w Fukushima, ale na dobre japońska energetyka jądrowa ruszyła dopiero po szoku naftowym, w połowie lat 70. Japończycy mieli okazję przypomnieć sobie boleśnie, że ich kraj zdany jest na import surowców. W krótkim czasie cena ropy wzrosła kilkakrotnie, ludzie w panice zaczęli wykupywać towary. Starsi Japończycy do dziś wspominają, jak stali w kolejce po papier toaletowy. Podobna sytuacja wydarzyła się dopiero w marcu 2011 roku.

W ówczesnej sytuacji decyzja była więc logiczna: tylko elektrownie jądrowe pozwolą uniezależnić się od światowych rynków surowców. Uran też trzeba co prawda importować, równocześnie podjęto więc badania nad tak zwanym reaktorem powielającym (ang. *fast breeder reactor*), zużywającym mieszankę uranu i plutonu. To skomplikowana i kosztowna technologia, ale – nie wdając się w szczegóły – gdyby udało się ją zastosować, rezultat byłby zbliżony do *perpetuum mobile*. Ilość odzyskanego paliwa przewyższałaby bowiem ilość paliwa zużytego i problemy energetyczne Japonii zostałyby raz na zawsze rozwiązane.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
Helion SA

Dzięki Piotrowi Bernardynowi, polskiemu dziennikarzowi, który od ponad dziesięciu lat mieszka w Tokio i zna język japoński, mamy niepowtarzalną okazję spojrzeć na ostatnią z japońskich katastrof oczami samych mieszkańców. Przyzwyczajonych do nieszczęść, jakie od niepamiętnych czasów szykuje dla nich natura. Jak sobie z nimi radzą? **Przeczytajcie!**

Japonia jest krajem, w którym cywilizację budować trzeba ostrożnie, w miejscu wyznaczonym przez naturę, i nie budować tam, gdzie regularnie pokazuje się jej gwałtowność: trzęsienie ziemi, osunięcie stoku, przejście tajfunu. Kto tego zaniedba, jego dom zostanie zniszczony do szczętu. A jeśli do tego dodać brak pokory i brutalne narzucenie naturze roli narzędzia do budowania własnej wizji krajobrazu? Pierwsza część książki Piotra Bernardyna, będąca dziennikiem z czasu trzęsienia ziemi i tsunami, pokazuje, co się dzieje, gdy natura wchodzi do akcji z całą okrutną przewidywalnością kataklizmu. Ta część to świetna rejestracja zachowań jednostek i całego społeczeństwa japońskiego. To lekcja pokory i społecznej powściągliwości, dyscypliny. Co się jednak dzieje, gdy społeczna powściągliwość i przesadna dyscyplina, połączone z posłuszeństwem wobec interesów przemysłu, hamują zdrowy opór społeczny — o tym jest druga, większa część książki. To relacja z niezakończonych do dzisiaj operacji usuwania skutków katastrofy nuklearnej. Autor dokumentuje wydarzenia po uszkodzeniu w wyniku tsunami elektrowni Fukushima Daiichi z wnikliwością i dużą wrażliwością na krzywdę społeczną, dociekając przyczyn ludzkich w osiągniętej skali nieszczęścia, uwydatniając dwuznaczną rolę odegraną przez interesy grupowe przemysłu energetycznego i media oraz podkreślając ciężar odpowiedzialności, jaki spoczywa na politykach. W sytuacji prawdziwego kryzysu jest on tak wielki, że jedynie historia odpowie, czy go udźwignęli. Ale na pytanie o sensowność i przyszłość energetyki nuklearnej czytelnik musi sobie odpowiedzieć sam.

Dr Jadwiga Rodowicz-Czechowska
ambasador RP w Japonii w latach 2008 - 2012

PATRONI MEDIALNI:

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

{ opętani
czytaniem }

LUBIĘ
CZYTAĆ

**Japonia-
online**

MANDRAGON

PIERZĄG ATOM

Bezdroża

Nr katalogowy: 15487

Księgarnia Internetowa:
<http://bezdroza.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
● <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
● <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

cena: 34,90 zł

ISBN 978-83-246-8512-7



9 788324 685127